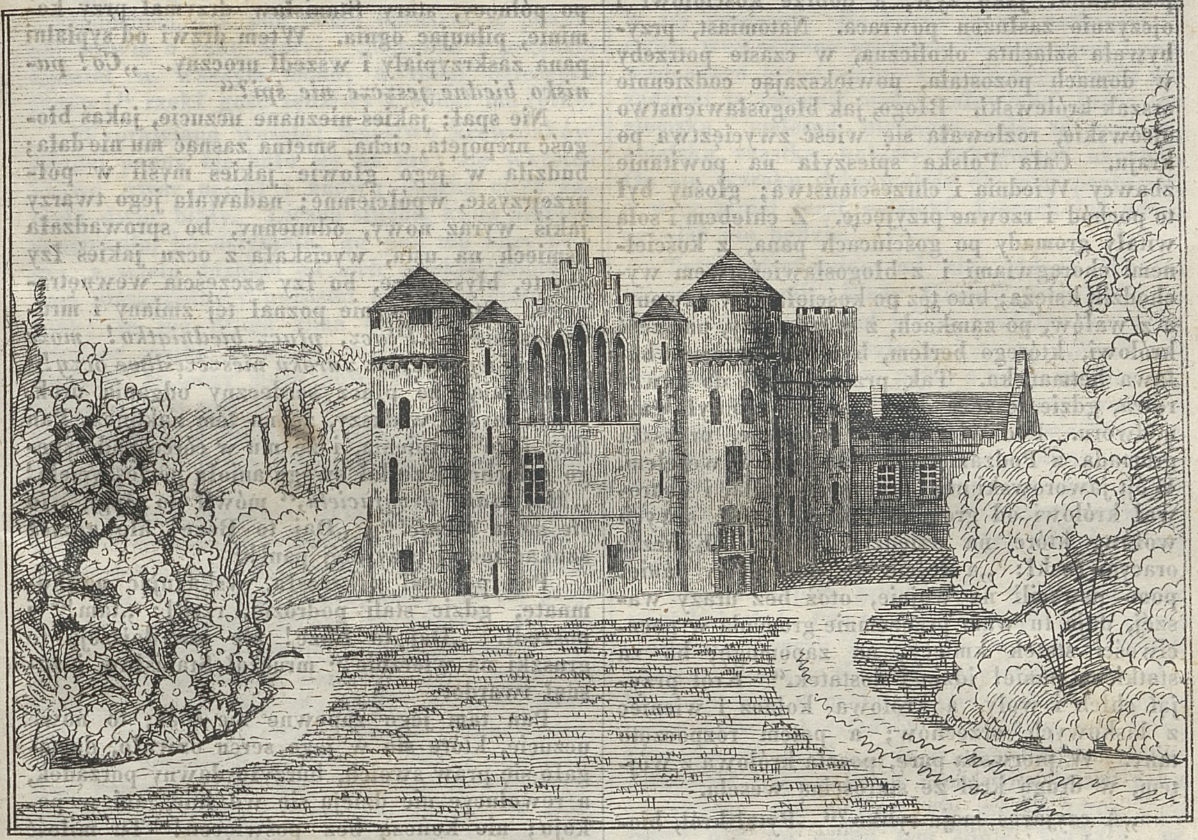
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 20. Leszno, dnia 17. Listopada 1838.



Zamek Zawada w Galicyi,

własność hrab. Atanazego Raczyńskiego.

Dając czytelnikom wierny wizerunek zamku Zawady, ubolewamy, iż o budowie téj, pamiętającéj nie jeden wiek, jak struktura jéj pokazuje, bliższéj wiadomości, pomimo wielu starań, udzielić nie możemy. Z wdzięcznością przyjmie redakcya każdy artykuł, objaśniający stary ten zamek; mianowicie zaś, do szanownych czytelników galicyjskich, prośbę tę zwracamy.

Obrazy z przeszłości.

Powrót do Jaworowa.

Wszakci to wiosną i las rośnie przecie!
Z młodu człek wesół, na starość bogaty.
Wiosną to, wiosną, buja wszelkie kwiecie:
Lecz kto nie mądry i podepce kwiaty,
Czyż temu owoc w jesieni dojrzeje?
Kwiatem i wiosną są dla ludu dzieje!

Przeszłość, jak prorok, o przyszłości wróży!
Kto chce przeszłości? Świat się wstecz nie wraca;
Co mu służyło, to dzisiaj nie służy;
Lecz dzieje przodków, oto krwawa praca!
A kto puściznę dziadów marnotrawi,
I z grobów rusza w Bogu ległe kości:
Jak ptak, co kala gniazdo, się osławi,
I miasto życia, poczyna wiek czczości!...

Wkrótce po potrzebie wiedeńskiéj, przybył król Jan, z całą rodziną, pod Lwów, do Jaworowa; gdzie często zwykł był przesiadywać, bawiąc na Rusi. Po drodze, w pochodzie swoim, zajeżdżał król na zamki panów i odwiedzał dwory szlacheckie; a gdzie kościół, lub klasztor napotkał, słuchał mszy świętéj, mówiąc: „Nie schodźcie Panu, Dawcy zwycięztw, z drogi!“ i czynił wota a ofiary na podziękowanie za

zwycięztwo Matce boskiéj, którą za osobliwą patronkę, w pacholęcym jeszcze wieku, był sobie obrał, i do któréj, jako *„Sodalis Marianus,“* osobne odprawiał nabożeństwo. Z każdą chwilą zmniejszał się wojenny orszak króla w téj podróży; bo rycerstwo spieszyło do zagród rodzinnych, i jaki taki, chciał się przed swojemi pochwalić: jako żyw, a dobrze kościołowi i ojczyznie zasłużon powraca. Natomiast, przybywała szlachta okoliczna, w czasie potrzeby w domach pozostała, powiększając codziennie orszak królewski. Błogo, jak błogosławieństwo ojcowskie, rozlewała się wieść zwycięztwa po kraju. Cała Polska spieszyła na powitanie zbawcy Wiednia i chrześciaństwa; głośny był to pochód i rzewne przyjęcie. Z chlebem i solą witały gromady po gościńcach pana, z kościelnemi chorągwiami i z błogosławieństwem wychodzili księża; bito téż po kościołach w dzwony, a z wałów, po zamkach, z mozdzierzy, na cześć królowi, którego berłem, była po staremu, buława hetmańska. Tak przybył król do Jaworowa, gdzie jeszcze dnia tego samego była gala u dworu. Pod wieczór, po obiedzie, przyszła gromada z Podzamcza z chlebem i weselem. Wójt jaworowski miał oracyą do króla, i ofiarował królowi od gromady, pług i sześć siwych wołów, które na dziedzińcu stały. Kończąc oracyą, rzekł: „a żeście się, miłościwy panie! pono potracili na wojnie, otoż bez urazy waszéj, daje tu wam przezemnie gromada w poczciwości statek kmiecy, na zapomogę; bo za statkiem, panie! idzie i dostatek.“ Król przyjął chleb i woły, a królowa kołacz i wieniec z laskowych orzechów; a potém rozpoczęto tany. W pierwszą parę, poszła królowa z wójtem, w drugą król ze starościną wesela.

„A czyjażeś moja rybko?“ Pytał król, biorąc ją do tańca.

„Kowalowa, panie nasz!“ odpowiedziała.

Poszli tedy w taniec, a za niemi, pańskim wzorem, pany z białą czeladzią, a panie z kmieciami, po skrzypkach niedzielnych. Gdy taniec obszedł do koła, krzyknął król na swoję już kapelę: „Nuż teraz raźnego!“ i wysunął się naprzód, wybijając z mazowiecka, a potém stanął przed królową i kapelą, i zaśpiewał:

A zkąd żeś to? z Jaworowa!
A czyjaś to? Kowalowa!
Kowalowa z kuńca, (sic!)
A chódźże do tuńca! (sic!)
Kowalowa, Bóg daj, zdrowa!
Bóg daj, zdrowa, Kowalowa!

a po tańcu, darował gromadzie daniny, a wójtowi i kowalowi darował sołtystwo.

W. P.

Listy z narodowéj pielgrzymki.

List trzeci.

(Koniec.)

Po wieczerzy rozpakowano sanie, podróżni udali się na spoczynek, posnęli wkrótce, i znowu dawna cisza zaległa dwór biały. Już było po północy, stary Stanisław drzymał przy kominie, pilnując ognia. Wtem drzwi od sypialni pana zaskrzypiały i wszedł uroczny. *„Co! panisko biedne jeszcze nie śpi?“*

Nie spał; jakieś nieznane uczucie, jakaś błogość niepojęta, cicha, smętna zasnąć mu nie dała; budziła w jego głowie jakieś myśli w półprzejrzyste, wpółciemne; nadawała jego twarzy jakiś wyraz nowy, odmienny, bo sprowadzała uśmiech na usta, wyciskała z oczu jakieś łzy czyste, błyszczące, bo łzy szczęścia wewnętrznego. Stanisław nie poznał téj zmiany i mruczał sobie: *„Płacz, płacz biedniątko! może prędzéj wypłaczesz z uroku nieszczęśliwe oczy!“* Powiadają, że płacz serdeczny odgania urok. I pan myślał w duszy, że na tém zakończy Pan Bóg jego cierpienia, i że mu w córce podróżnego szlachcica zesłał swego anioła pocieszyciela! *„Mój stary przyjacielu,“* mówił do sługi, *„ja się może ożenię!“* „Daj to Boże! ale gdzież szukać mojéj przyszłéj pani!“

Pan powstał z krzesła, wskazując na komnatę, gdzie stali podróżni, rzekł: „tam!“ i poszedł. „Daj to Boże! ale nie dojrzeją te gruszki na wierzbie!“ mruczał Stanisław i zasnął twardo.

Pan tam jego zapewne nie spał; to nowe uczucie, które się w jego sercu ozwało, domagało się praw swoich, burzyło dawny porządek, a rewolucye nie dzieją się we śnie, ani w pokoju; nie kończą bez poświęceń! Tu miłość weszła w wojnę z obowiązkiem; silna żądza posiadania ukochanego przedmiotu, wymagała silnéj reakcyi; znalazła się więc obawa postradania tego przedmiotu; jedno jego spojrzenie mogło go zabić na wieki! „Ach! oczy moje, oczy!“ wołał nieszczęśliwy. Miłość i poświęcenie stanęły obok siebie. Te dwa sprzeczne uczucia, jak dziwnie lud nasz pojął i pogodził. Ileż to najrozmaitszych, najpiękniejszych sytuacyj możnaby ztąd wyprowadzić . . . jak okropnie odmalować tę noc bezsenną, ten ranek pełen niepokoju, tę chwilę, kiedy się do niéj zbliżał, tę drżącą obawę, kiedy na nią miał spojrzyć i wreszcie tę radość, kiedy spojrzał, a oczy jego nikomu z gości nie zaszkodziły; wszakże one w złéj tylko godzinie urok rzucają! Nie posiadając się z szczęścia, raczy gości swoich najlepszym kąskiem spiżarni; a oni téż widząc jego przychylność, tydzień cały już bawią; przecie im tu nic nie wadzi!

Stary Stanisław począł teraz wierzyć, że dojrzeją owe gruszki na wierzbie, a szlachcic rzekł raz do żony, już zdrowszéj: „Małgosiu!

coś nasz łaskawy gospodarz smali cholewki do naszéj Maryi, i ona, jak baczę, nie od niego. — Nie zlećby to było; człek nie ubogi, nie młokos; nasza też dziewka nie krzywa i dojrzała w latach!“

Tak mówił rano, a po wieczerzy popijając starego węgrzyna, muskał czuprynę i słuchał z uśmiechem, jak pan domu upraszał w pokornéj mowie o rękę Maryi. „Niechże i przędzie kądziel w waszym domu, a rodzi dzielnych synów!“ rzekł gość sędziwy i oddał mu córkę.

Wyprawiano wesele; mnóstwo krewniaków młodéj panny zjechało się na nie; ale wkrótce znowu gwar ucichł i znowu dawna cisza zaległa dwór biały. Liczna służba, którą przyjął, pouciekała, bo usłyszała, że pan ma oczy urocze, a wielu doznało od nich ciężkiéj choroby. Sam nieszczęśliwy pozostał przy łożu cierpiącéj żony; to już druga zima od ślubu, ona ma wkrótce matką pozostać, cierpi, a cierpi podwójnie, bo oczy męża powiększają boleści. — I ona wie, o tém wie, że oczy męża zabijają ją powolnie, a przecież błaga go o to spojrzenie, które on przez litość, przez miłość od niéj odwraca!

Tyle przywiązania, tyle poświęcenia, wymagało wzajemnych dowodów przywiązania i poświęcenia, bo gdzie między żoną, a mężem, nie masz równowagi w uczuciach, tam się psuje harmonia i zgoda. Ofiara za ofiarę! Ale jakąż to ofiarę ma swojéj żonie przynieść nieszczęśliwy uroczny? Umrzeć? Nie, toby był najokropniejszy cios dla niéj! Śmierć zadaje sobie człowiek słabego ducha, nienawistny, mściwy, rozpaczający, ale nie mąż z charakterem, który kocha! Miłość i życie są dwa wyobrażenia najściślej z sobą powiązane. A więc żyć będzie nieszczęśliwy; ale odpłaci przywiązanie żony ofiarą, stokroć boleśniejszą od śmierci! „Oto masz nóż, wyłup te przeklęte oczy; z twéj ręki boleć nie będzie!“ mówi do żony, która się wzdrygała na te słowa okrutne; miłość robi poświęcenia, ale ich nie wymaga.

Wybiegł tedy uroczny z komnaty, i za chwilę usłyszano w dwóch przeciwnych skrzydłach białego dworu, dwa przeciwne głosy boleści; jeden dziecięcy, drugi męzki; jeden witał światło dzienne na krótki czas żywota, drugi je żegnał na wieki! Te dwa głosy tak sprzeczne, tak różno-dźwięczne dla ziemskiego ucha, łączą się w krainie ducha jednym akordem piękności i prawdy. Ze śmierci życie się rodzi, światło z ciemności; zachodzi słońce pod wieczór, ażeby rano tém świetnéj zabłysnąć; kryje się za chmury w czasie burzy, a zsela nam w najdrobniejszym promyku nadzieję. Nadzieja jest życiem, szczęściem nieszczęśliwych; ta nadzieja dodawała ociemnionemu męztwa do znoszenia cierpień, równie jak mu miłość dodała męztwa do zadania ich sobie. Poświęcenie, którego nie miał siły zrobić dla dobra ludzkości, chociaż czuł potrzebę jego, chociaż znał obowiązki swoje; to poświęcenie zrobił z miłości ku żonie. — A więc miłość uszlachetnia duszę, zapala ją do dzieł wielkich, podnosi moralność!

Otóż mamy religią, poezyą, filozofią w jedynéj sytuacyi, którą nam powieść gminna przedstawiła. A nie jest ona pierwszą i ostatnią w téj powieści. Bo kogóż to nie zachwyci to ciche, wewnętrzne szczęście ślepego ojca, oprowadzanego przez maluczką córeczkę; kogóż nie zadziwi ta czystość uczuć człowieka, który nie ziemską, cielesną piękność, ale tę wyższą, anielską cząstkę kobiety, tak gorąco ukochał. On się wzroku dobrowolnie dla niéj pozbawił, a więc mniéj cenił wdzięki, których już odtąd oglądać nie będzie.

Tutaj przypomina mi się Aldona Mickiewicza, w chwili, kiedy Konrad przychodzi po dokonanéj zemście pod wieżę, i zaklina kochankę swoją, aby z nim uszła na Litwę. „Nie,“ odpowiada Aldona, „nie pójdę z tobą, niechcę cię nawet zobaczyć! Długie lata pracy, znoju i cierpienia, wyniszczyły zapewne twarz twoją, a ja chcę twój pierwotny, piękny obraz zachować w mojém sercu!“ Zdaje się, jak gdyby przez to chciała powiedzieć: ujrzawszy cię mniéj pięknym, jak byłeś przed laty, możebym cię kochać przestała.

Czy nie lepiéj, gruntowniéj pojął lud nasz serce kobiety! Pan uroczny wyłupił sobie oczy; muszkuły twarzy ściągły się wszystkie w ich miejsca; przez co się usta skrzywione podniosły, brwi opadły, a czoło pomarszczyło. — Natura będąc praw zakreślonych niewolnicą, bez serca i moralności, mści się za wyrządzone krzywdy; zeszpeciła więc całkiem i zmieniła twarz pana urocznego, ale zmienić nie mogła serca jego żony; ona go odtąd tém silniéj kochała, że umiała cenić poświęcenie jego. Natury zatem panowanie ustaje tam, kędy się panowanie ducha poczyna. Ztąd widać, że lud nasz nosi głęboko w duszy kieł téj prawdy filozoficznéj, na któréj rozjaśnienie kilka się wieków składało, iż duchem wyżéj nad naturą stoimy; iż nad sercem, a raczéj nad moralnością serca, nie ma natura żadnéj potęgi; iż przeciwnie ten duch i to serce opanować i rządzić ją może. Zaraz bowiem daléj powiada o starym Stanisławie, że zakopawszy oczy pana swojego w ogrodzie, odgrzebał je z ciekawości kilka lat późniéj; błyszczały jak dwie świece, ale zaledwie spojrzał na nie, upadł bez duszy! Zabiły go wtedy dopiero, kiedy je pan wyłupał; bo pierwéj odejmowało im serce kochające Stanisława wszelką potęgę i władzę!

Na tém kończy p. Wojcicki powieść *o oczach uroczych*, którą uważam za szkic pierwotny jakowegoś wielkiego obrazu. Niechaj tylko nikt źle tego wyrażenia nie rozumie. Wszakże najcudowniejsze pomysły, objawiali i wielcy mistrzowie w szkicach lekkich i ulotnych. —



rys. J. R.

Oczy urocze.

P. Wojcicki chwycił się tego rodzaju, pewno nie bez rozmyślnéj przyczyny. Szkicowanie ma bowiem przed innemi rodzajami tę korzyść, że wolniejsze i obszerniejsze zostawia pole wyobraźni, która grę swoję dowolnie w niém rozwijać może. Jest przez to samo spokrewnione z fantastycznością, sprzyjającą szczególniéj powieściom gminnym, z natury już swojéj cudownym i fantastycznym. A że fantastyczność ulotna, wolna, swobodna, w najrozmaitsze się kształty przebiera, będzie przeto i powieść gminna największego urozmaicenia zdolną. — Szkic jest sam w sobie całością, co do pierwotnéj, postaciowéj formy pomysłu; wykończenie zaś pilniejsze szczegołów, ich najdrobniejsze spowodowanie, będzie jego urozmaiceniem. — Niemcy szczególniéj ubiegają się o to wykończenie, równie w rysunku, jak w poezyi. — Wszakże *Chamisso*, z mniéj bogatego, z mniéj treściwego podania, napisał dość obszerną powieść fantastyczną: „Peter Schlemihl", w przeciągu lat czterech, cztery razy przedrukowaną w Berlinie. Dużo w niéj znaleść sytuacyi podobnych oczom uroczym. Młody człowiek, Peter Schlemihl z przezwiska, zaprzedał *cień* swój djabłu, za co dostał źródło bogactw niewyczerpane. Ale ich używać nie mógł; zaledwie bowiem wszedł pomiędzy ludzi, każden od niego stronił zdumiony i zatrwożony; dzieci uliczne, ciskając nań błotem, wołały: der hat keinen Schatten. To go przymusiło zamknąć się przed światem. — Równie jak nasz uroczny, pędził samotne godziny; ale jemu było do tego pobudką własne dobro, nie zaś dobro ogółu; on nie mógł sobie powiedzieć: *„żyję jak zbrodniarz, chociaż żadnym występkiem nie skalałem życia mojego!"* W ogóle możnaby powiedzieć, że cała ta powieść nie ma ani tyle charakteru, ani tyle moralności, co oczy urocze, które są symbolem *miłości bez granic i poświęcenia bez granic.*

Z pod Kalisza, dnia 20. Września.

R. W. B.

Wiadomość o koloniach tak dawnych jak i nowszych, niemniéj ich handlu.

(Z rękopismów sen. Soczyńskiego.)

Jeżeli ludzie, bądź z własnego natchnienia, lub nieszczęsnéj doli, ziemię rodzinną, ziemię ojców opuściwszy, pod obcém niebem przytułku szukają, siedziby zakładają; nazywamy ich osadnikami, a miejsca same, osadami. Gdy zaś łono matki przybranéj tyle im darów udziela, że nadmiarem z drugimi dzielić się, zamieniać, kupczyć mogą; *handlu to kolonialnego* nosi nazwę.

Po wszystkie czasy i miejsca zakładano osady, nieprzeliczoną liczbą przyczyn wywoływane; gwałty i klęski wojen, nadewszystko domowych w dawnéj Grecyi, najwięcéj się przyczyniły do przemian obywateli na wychodniów, osadników; przeludnienia nadto okolic niektórych, a nakoniec wzrost handlu, oto były najważniejsze w owéj epoce powody kolonizacyi. Związki i stósunki osadników z ojczystą ziemią, zależeć zwykły od przyczyn, które na założenie osad wpływały. I tak: jeżeli osady powstały z ludów, gwałtem z siedlisk rodzinnych wypartych, a zatem z wygnańców, zbiegów i t. p., albo też, co częściéj się zdarzało, jeżeli z wychodniów, dobrowolnie kraj ojczysty opuszczających, a którzy żadnych zasiłków, wsparcia z ojczystéj nieotrzymywali ziemi, te właściwie, niepodległych osad nosiły miano. W tych nawet przypadkach, gdzie skarb publiczny do kolonizacyi należał, owe poddaństwo osad nie bywało tak dalece ściste; słowem, największa część osad greckich stanowiła raczéj państwa udzielne, sprzymierzone. W skutek to tych instytucyj usamowolnionych i wyższości uobywatelonych osadników nad krajowcami okolic, w których siedziby swe zakładali, postęp ich spieszny w przemyśle zamożności, sztukach i naukach, do wysokiego stopnia górując, nieraz stawiał osady nietylko w równi z ojczystemi niegdyś miastami, ale nawet i nieraz wyższość im zapewniał.

Osady rzymskie, zwykle za pośrednictwem i pod zwierzchnią władzą rządu zakładano. Służyły pospolicie za przytułek biednéj klassie mieszkańców, lub za pobyt zniechęconych obywateli, lub na załogi wojenne, które podbite prowincye na wodzy i w poddaństwie utrzymywały. Ztąd to między osadami a samym Rzymem, święty zawsze związek polityczny istniał i wewnętrzny zarząd osad mniéj więcéj na podobieństwo panujących ustaw krajowych wzorowano. Nasyłani ze stolicy gubernatorowie, sprawowali rzecz publiczną jak w innych prowincyach rzymskich, wybierali podatki, zaciągali popisowych; słowem, do wszystkich ciężarów wojen, w które rzeczpospolita wplątaną była, osadników wciągali.

Co do osad ludów dzisiejszych, *Hiszpanie*, po odkryciu Ameryki, byli pierwszymi, co osadnictwo rozpoczęli; lecz jakaż to była natura tych nowych osiedleń? Oto grabież, mordy i pożogi ludów niewinnych i bezbronnych w nowo odkrytéj części świata; sądzono albowiem, że całe szczęście i bogactwo krajowe, na posiadaniu złota i srebra spoczywa. Zatém poszło, że wszyscy towarzysze wielkiego Krzysztofa Kolumba, zamiast się zająć przemysłem, uprawą, handlem, losem znajdowanych ludów; badali o drogi kruszec, wytropiony wydzierali, łupili, nieszczędząc gwałtu i pożogi, i roznosząc po dawnym świecie niesłychane i przesadzone baśnie o bogactwach niepojętych nowo odkrytych krajów. Wszystkie późniejsze wyprawy z Europy, z tegoż źródła wyobrażeń wylęgłe, prawdziwie były awanturnicze: gdzie bądź lądując, o nic się więcéj niepytano, tylko: czy i gdzie jest złoto? Znalezione, wstrzymywało przybyszów dotąd, dopókąd łupione tylko być mogło; nieznalezione zaś, płoszyło najezdników, którzy lotem błyskawicy uchodząc, w szale urojeń, w nowe zapuszczali się bezdroża, bynajmniéj nietroszcząc się nawet o miejsca i ludy, losem odkrywane. Słusznie tedy *Piotr Martyrus*, współczesny dziejopis, o Hiszpanach powiedział: „*Auri rabida sitis a cultura Hispanos divertit*" (novus orbis pag. 511.) Przesadzone wieści, zawodne nadzieje, nieumiętne pędzenie gór i t. p., powoli uleczyły zagorzałe umysły; zaczęto nakoniec formować osady, uprawiać rolę i handlować nieprzebranemi ziemiopłody, które Mexyk posiada; żyzność i szczęśliwe położenie kraju, byłyby niezawodnie prawdziwém stały się dla Hiszpanii bogactwem, podniosłyby jéj potęgę, wielkość i znaczenie; lecz nieszczęsne zaślepienia, ucisk, nietolerancya, niesprawiedliwość rządu, tak dalece paraliżowały i krępowały wszystko, że mimo upływ dwu blisko wieków, osady hiszpańskie bynajmniéj się wznieść, zakwitnąć nie mogły. Jakoż wszystkie błędy rządu krajowego, przeniesiono również z Hiszpanii do Ameryki i rozpleniono, całą albowiem przestrzeń nowego świata uważano za własność korony hiszpańskiéj. Niemało gnębiły i monopolia, najnierozsądniéj zaprowadzane, i dzikie obostrzenia, pod najsurowszemi kary codziennie ogłaszane; wchodzić n. p. w spółkę przemysłową z obcym, uważano to za zdradę kraju; co większa, sami nawet osadnicy nie mogli inaczéj wzajemnych między sobą prowadzić związków handlowych, tylko z wiedzą rządu i pod najuciążliwszemi warunkami. Rząd nietylko wprowadził monopol na sól, tytuń, tabakę i proch strzelniczy; ale co gorsza, zakazał uprawę lnu, konopi i wina nawet. Wszystkie podatki i opłaty, tamujące przemysł w rodzinnym kraju, z wszelką surowością i jak najściśléj w osadach, na wszelki towar wchodzący lub wychodzący z nich, wprowadzono. Religia katolicka wy-

łącznie była za powszechnie panującą ogłoszona; wszystkie inne, ani cierpiane nawet; nastały przytém dziesięciny, inkwizycya; a chcąc do szczętu wygluzować zacność samegoż stworzenia boskiego, wszelką oświatę, wszelkie użyteczne nauki lub wiadomości, niczego wprowadzać, niczego rozpościerać między osadami nie dozwolono. Nie lepszy los spotykał osadników wysp zachodnio-indyjskich, przynajmniéj aż do połowy upłynionego wieku; posiadanie Kuby, Hiszpanioli i Porto-Ricco, nieprzynosiły skarbowi hiszpańskiemu tyle nawet korzyści, ile najmniejsze z posiadłości angielskich lub francuzkich; sama n. p. Kuba, owa to ziemia obiecana, która mogła z łatwością całą Europę w cukier zaopatrywać, potrzebom samejże Hiszpanii w 1750 r. zadość uczynić nie była w stanie. Nierząd ten, ucisk i prześladowania, a nakoniec wojna między Hiszpanią i Francyą wybuchła, stawszy się powodem powstań i zaburzeń, dały nakoniec początek ich wybiciu się i usamowolnieniu z jarzma hiszpańskiego.

Osady angielskie. Zdobycze i powodzenie Hiszpanii w Nowym świecie, obudziły zazdrość i ocuciły ducha współubiegania w Anglikach; wyjednana następnie przez Ferdynanda i Izabellę Bulla papiezka, upoważniająca wszelkie podboje ludów dzikich, ludów niewiernych, dała początek wyprawom i do dalszéj żeglugi ku północy; odkrycia wszakże ówczesne, nieznajomość rzeczy, chytrość i płonne nadzieje szukania zawsze złota, tak dalece osiedleniom i tu niesprzyjały, że dopiero około 1607 r. pierwsze stałe i to wypadkowe kolonie angielskie w Ameryce, w James-Town w Wirginii zawiązały się. Niebawem (bo 1609), Jakób król angielski wydał na rzecz majętniejszych obywateli londyńskich, którzy na swój koszt osady zakładać przedsięwzięli, *patent;* zastrzegając sobie między innemi piątą część znalezionego złota; niedługo wszakże trwało owo ztowarzyszenie; zatargi albowiem między rządem i kompanią, skończyły się na stracie 150000 funt. sterl., które próżno na kolonizacyą wydano. A tak, prawdziwego początku osiedleń angielskich, nikomu innemu przyznać nie możemy, jak prywatnym i to do tego wychodźcom, którzy uciekając przed prześladowaniem, tak zwaném religijném, i wypadkami politycznemi, pierwsze też i stałe osady w Nowéj-Anglii założyli, a co większa, na zasadach tolerancyi i rozsądnéj wolności: wszelkie rozporządzenia, niemniéj zarząd osad na zgromadzeniach kolonialnych, przez delegowanych z gmin, załatwiano, wolność osobistą zabezpieczono; i wyjąwszy ścieśnienia i ograniczenia w handlu, przez Wielką-Brytanią stale przestrzegane, wielu z poddanych Wirginii, Pensylwanii i Nowéj-Anglii i niemało z tychże samych swobód kosztowali, jakich dziś wszyscy, jako wyzwoleńcy, obywatele wielkiéj rzeczypospolitéj północnéj Ameryki, bez żadnych ścieśnień, monopolów, stale teraz używają. W skutek to tak wielkich dobrodziejstw, postępy owych prowincyj, stanami zjednoczonemi zwanych, w ludności i bogactwach nic dotąd w dziejach świata niemiały nietylko równego, ale nawet i podobnego; osady białych mieszkańców, zaraz w początkach walki o niepodległość w 1776 r. doszły aż 2,000,000 ludności, a wartość wprowadzonych doń towarów z saméj Wielkiéj-Brytanii, rocznie 1,300,000 funt. szterl. wynosiła. *) I cóż mogło być przyczyną owego błogiego, a niesłychanego szczęścia osadników północno-amerykańskich? oto: nauka, światło pierwszych założycieli osad; którzy od młodych lat do pracy, czynności i rządności przyzwyczajeni, znający z doświadczenia rzetelną wartość ustaw i rozsądną kraju administracyą; obeznani z gospodarstwem narodowém, jakie najlepiéj rządzone kraje europejskie, w ówczas posiadać mogły; a osiadając, co jest najważniejsza, na ziemi żyznéj, szczęśliwie położonéj, mało pierwotnym mieszkańcem zaludnionéj, mogli i z łatwością wszystko to, bez przerwy i w pokoju zaprowadzać, wykonywać, od czego dobry byt, wzrost ludności, postępy przemysłu i bogactwa rzetelne narodów zależą. Jeżeli bowiem każden z nowo przybyłych osadników z łatwością dostaje przestrzeń żyznéj ziemi, a do tego na długi czas, bez opłat, danin, lub okupu dzierżawy; jeżeli nadto pracę, zachód jego, nagradza przedaż, spieniężenie ziemiopłodu przezeń zdobytego; następność prosta jest: że ma i powody i środki do zarobku i zbioru kapitałów; a wyszukując, pomnażając najemnika i będąc w stanie najem sowiciéj wypłacać, szerzy wzajem dobry byt w tymże; najemnik albowiem, mogąc coś zaoszczędzić, składać, przy pilności, niebawem wychodzi na właściciela, któren znów podobnąż koleją na dobro powszechne wpływa; przez co pomyślność, jak ludność, codziennie wzrasta i to z szybkością, w krajach dawnych, a już zaludnionych, nieznaną.

Wspomnione powyżéj ścieśnienia handlowe, niesprawiedliwość i ucisk osadników, z obłędu polityki angielskiéj wylęgłe, pierwszą i walniejszą były tedy przyczyną uciemiężanym do zrzucenia z siebie jarzma; stało się zaś to w epoce, w któréj rząd, w brew nadanych swobód handlowych osadników, wywóz tytuniu z kolonii zakazał, a daléj posuwając bezprawia, toż samo z cukrem, imbierem, bawełną, a nakoniec kawą, skórami, zbożem nawet i t. p. uczynił. Słusznie tedy lord Chatam, dając zdrowe rządowi angielskiemu przestrogi, ucisk ówczesnych osadników wystawia, mówiąc: *„Osadnicy Wielkiéj-Brytanii w Ameryce, tak wielką wolnością są udarowani, że im gwoździa nawet do podkowy ukuć nie jest wolno.“* Zdanie to przez

*) Ludność ta r. 1800 już 5,164,523 doszła, a wywóz ziemiopłodów 1810 r. był za 66,920,000 dollarów.

znakomitego mówcę w parlamencie, wyrzeczone, dokładniéj jeszcze lord Sheffield wyjaśnił, słowy: *„Że cała zaleta, wartość osad angielskich, na samokupstwie i odstawach spoczywa.* Niemamy z resztą potrzeby, w rzeczy tak jasnéj, zapuszczać się w obszerniejsze wywody; dosyć wspomnieć, że zgubność monopoliów, pozbawiła Anglią niesłychanych korzyści handlowych, przyprawiła o stratę kolonii, a stanom zjednoczonym dała istnienie. Dzisiaj stanęły rzeczy na tém, że zacząwszy od Kanady, aż do przylądka Horn, wszystkie przystanie i dla wszystkich okrętów europejskich i dla wszystkich ludzi są wolne, otwarte; wszelkie wypadki sztuk, nauk i umiejętności; każden wyrób mozołu lub dowcipu Europy, mieszkania równie, jak majątek jego, kapitały wpadają, giną w nich, jak w bezdennéj, granic niemającéj otchłani. Resztujących nawet osad, tak angielskich jak i francuzkich, nie inny będzie koniec; zdrowe albowiem zasady kupiectwa, coraz to mocniéj się szerząc, dzieło powszechnego usamowolnienia handlowego, niezadługo dokonają.

Stan kolonij angielskich, teraźniejszy. Jakkolwiek przez oderwanie się dawnych osad, i powstanie stanów zjednoczonych Ameryki, niemałe Anglia poniosła straty, kolonie atoli Wielkiéj-Brytanii, na czele wszystkich innych osad, pierwsze jeszcze zajmują miejsce. I tak w północnéj Ameryce, wyższą i niższą posiadają Kanadę, Nową-Szkocyą z Nowym-Brunświkiem. Ocean atlantycki, S. Wawrzeńca rzeka, ułatwiając wszelką żeglugę i związki z wielkiemi jeziory Kanady, nastręczają wszelkie korzyści z obszernego handlu krajowego, i stanowią tém samém naturalny odbyt, na wszelkie ziemiopłody, tak własne jak obce, z okolic, na pobrzeżach leżących. Klima jakkolwiek jest ostre, zimne, nie jest przecież niezdrowe, ani pracę robotnika na długo zawieszające. Ludność z resztą osadników, na brzegach rzeki S. Wawrzeńca zamieszkałych, do 580000 podają. — Wyższa Kanada szczególniéj odznacza się zdrowym klimatem, żyznością ziemi, mnóstwem zwierząt, a szczególniéj wodnych, i obfitością drzewa: a jakkolwiek ludność dzisiejszą cenią na 300000 dusz, wiele jednak okolic dotąd odłogiem spoczywa, nieliczy albowiem na milę kwadratową ziemi więcéj, jak po 20 ludzi, mogąc najwygodniéj po 120 głów wyżywić.

Posiada, prócz tego Anglia niemałą przestrzeń kraju Hudson-Bay, wielkie wyspy Neufundland i przylądek Breton, lecz w klimacie i zaostrym i w ziemi nieużytéj. Wszystkie, jedném słowem, posiadłości te Ameryki północnéj, z wyspą xięcia Edward i Labrador wzięte, wedle statystycznych wykazów, w 1832 sporządzonych, obejmowały ziemi uprawianéj 4,913,864 akrów z 1,307,000 mieszkańców.

(Koniec nastąpi.)

Wiara.

Szczęśliwy! kto po gromach tajnéj burzy świata,
Do portu pomyślności zawinął wesoło;
Kogo, choć już w lat schyłku, własna chroni chata,
A przyjaciół otacza zgodnomyślne koło.

Bo po kwiatach roskoszy jego życie płynie,
Jego nie trują czarne zbiegłych lat wspomnienia,
Wszystkie on w niepamięci pogrzebał krainie,
Jego przyszłość nadzieja złotem opromienia.

Ale, kto jeszcze w życia rzucony odmęty,
Z pomiędzy śmiercią w okół kipiących żywiołów,
Patrzy w żagiel swéj łódki, groźnym wiatrem wzdęty!
Tego myśl nie ulata w dziedziny aniołów.

Ach! tego serce szczęsnéj nie wydzwania pieśni,
Wieńcem nadzieja niwy nie złoci żywota,
Bo kiru duszy gwiazda uroku nie przeleśni,
Nie zedrze ciemnic, które zawiodła zgryzota.

A więc nie ma już, nie ma, majtku nieszczęśliwy!
W tym krwawym oceanie pociechy dla ciebie;
Czemuż roztrącasz jeszcze ten wał uporczywy,
Gdy już ostatnia zorza na twém zgasła niebie!

Bo jest jeszcze na ziemi jeden głos tajemny,
Wielu niezrozumiały, od wielu, wyklęty,
Co się w serce zbolałe, jego dźwięk podziemny
Z łona grobów przeszłości wciska niepojęty.

Nie jednemu w dziecinnych uroczeń lat kwieciu,
Już przebrzmiał, jako echo dalekie w pustyni,
Nie jednemu i w dalszém towarzyszył życiu,
Póki serca nie zmroził w fortuny świątyni.

Jam go w raju słodyczy w mojéj pieścił duszy,
Za nim pędzę na oślep w krwawym losów grzmocie;
Głosie wiary! twój promień łzy moje osuszy,
Ty mnie prowadź; nie zginie, kto zaufał cnocie!

A. B.

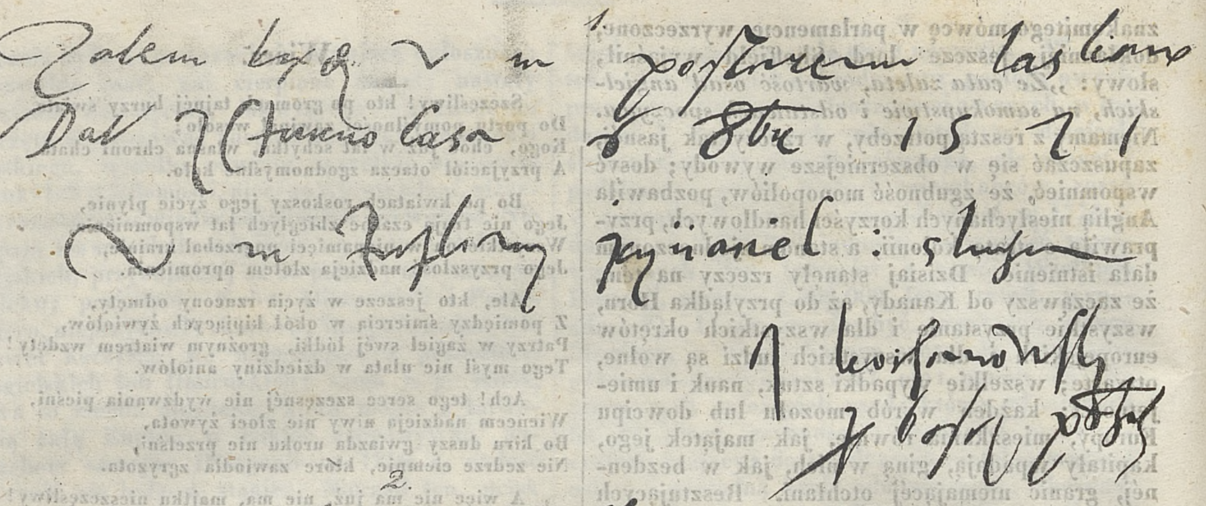
Do ***

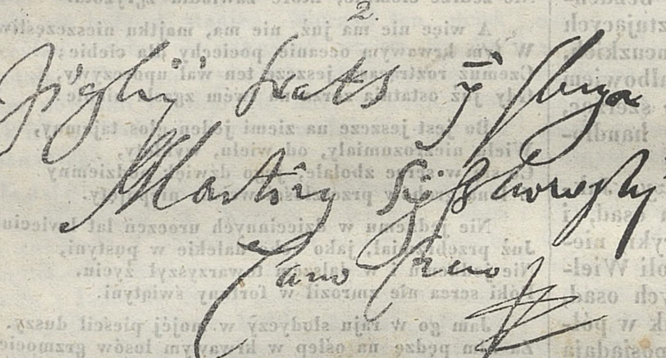
Byłaś dla mnie aniołem; pod twemi skrzydłami,
Zasnąwszy pośród ludzi, śniłem z aniołami.
Ale biada mi, biada! że zbudzon zawcześnie,
Chciałem kielich roskoszy, niedopity weśnie,
Spełnić do dna na jawie; że prośbami memi
Wywołałem cię z nieba, przybliżył do ziemi!

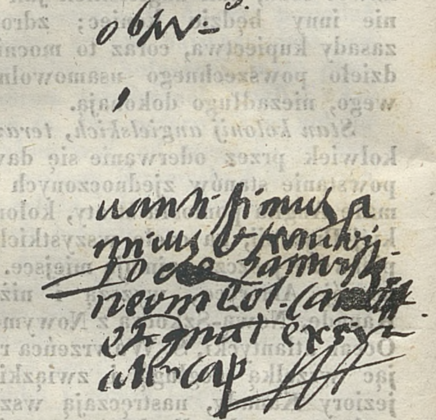
Zaledwie się jéj dotkła anielska twa szata,
Wcieliłaś się w zmysłową postać tego świata,
I byłaś na tym świecie, jak jest każda inna,
Choć od każdéj piękniejsza, i więcéj niewinna,
Więcéj uboga w próżność, a w cnoty bogata!

Wtedy mogłaś na ziemi w czasie losów burzy,
Być dla mnie, czém dla pszczółki jest listeczek róży.
Ja mógłem żarem czucia przepalone skronie,
Zachować od zepsucia w twoich cnót koronie;
I jak pszczółka z twéj duszy ssać rajskie słodycze,
I jak motyl podziwiać twe wdzięki dziewicze,
I oddychać twém tchnieniem i żyć twojém życiem!
Alem ja dąb wyniosły — dumny z przyrodzenia,
Chciał cię osłonić siłą mojego ramienia,
I zmierzyć czoło moje z nawałnicy wyciem.

Grom uderzył dąb runął i szumem upadku,
Straszliwie cię owionął tajemniczy kwiatku!
I wraz zbledną twe lice, i wraz wiatr rozniesie
Wdzięki twe po odwiecznym zapomnienia lesie,
A woń wezmą niebiosa, jak duszę anioła,
Kiedy ją Bóg na łono swéj chwały powoła!







Wtedy mogłaś być dla mnie powietrzną roskoszą,
Tym dźwiękiem niewcielonym, harmoniją świata,
Którą anieli z nieba na ziemię przynoszą,
A po której człek z ziemi do nieba ulata!

Alem ja nierozsądny śpiewak zapalony
Chciał zmysły moje jednym akkordem upoić;
Uderzyłem po stronach i wraz pękły strony,
Rozbrzmiał akkord, niesforne pozostało echo,
I arfa, której dotąd nie mogę nastroić,
Powiedz, czém ta pamiątka, smutkiem, czy pociechą?

Dnia 1. Listopada. *R. B.*

Z zbioru, nadesłanego nam z Styryi, udzielamy dziś facsimilów następujących:

1. Podpis Jana Kochanowskiego, z własnoręcznego listu jego. pisanego do sekret. król., Stanisława Fogelveder, z Czarnegolasu dnia 6. Październiku 1571.

2. Podpis X. biskupa krak., Marcina Szyszkowskiego, pisanego do X. Mikołaja Dobrosieckiego, kan. krak., z dn. 30. List. 1598.

3. Podpis Jana Zamojskiego, z listu do kardynała Aldobrandyniego, d. z Zamościa 31. St. 1604.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)